Ner 1. Kraków 5 stycznia 1867. **Rok II.**

Prenumerata miejscowa: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., — *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 złr. 20 c. *półrocz.* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocz.* 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez mód i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocz.* 90 c. w. a.
Nuty *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocz.* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

KALINA

Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. *Mikołajska* 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni *J. Czecha*
We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi *Hercoka* na Halickiém.
W Poznaniu w księgarni Mieczysława *Leitgebera* Hotel du Nord.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

BIBLIOTEKA dla kobiet jako DODATEK do „Kaliny“, albo *osobno* kosztuje rocznie 6 złr. w. a. — półrocznie 3 zlr, — ćwierćrocznie 1 zlr. 50 c. — miesięcznie 50 c. — Osobno prenumerować można przez księgarnią Fr. Grzybowskiego w Krakowie — a za pośrednictwem wszystkich księgarni.

Przy dzisiejszym numerze dołącza się dla prenumerujących: **rycinę mód i arkusz krojów**, a **opis** w osobnym dodatku.

Uprasza się Sz. Prenumeratorów, którzyby nadal „Kaliny“ nie życzyli sobie trzymać, aby posłany im pierwszy numer **na pocztę zwrócili**, — w przeciwnym razie prosimy o wczesne nadesłanie prenumeraty.

O WYCHOWANIU KOBIETY
odpowiedniém jéj stanowisku i powołaniu

podług

Dr. Rudolfa Wirchofa.

Każdy krok na drodze rozwoju ma swoje właściwe niebezpieczeństwa. Wychowanie sposobić ma *do życia*, a tego najpewniéj dokazać może *na łonie dobrze urządzonego pożycia rodzinnego, domowego*. Państwo zaś i dzisiejsze społeczeńskie stosunki coraz więcéj rugują wychowanie z łona rodziny do *publicznéj szkoły*, a dzisiejsza szkoła wychowuje coraz mniéj dla życia, *a więcéj dla państwa i dla społeczeństwa*. Życie bowiem wymaga przedewszystkiem *samodzielnego* rozwoju *jednostek*, według *wrodzonych* darów i zdolności każdego; państwo zaś i społeczeństwo żądają *sztucznego* rozwoju *mas*, według poszczególnego zakroju i tradycyi, jakie ma każde państwo lub społeczeństwo w swoim stopniu rozwoju. Z uprawą umysłów zachodzi w tym razie taki sam wypadek, jak z uprawą roli w wielkich posiadłościach: wartość jednostki może niknąć, jeżeli się wzmaga wartość i massy.

Naród zaś ma obok wychowania mas w państwie jeszcze inne wypełnić zadania. Państwo jest tylko formą, jaką sobie obiera naród celem wypełnienia *pewnych* zadań, lecz nie jest formą zapomocą któréjby zdołał *wszystkie* swoje wypełnić zadania. *Wychowanie narodowe* musi mieć inne wyższe cele, niż *wychowanie państwowe*.

Jeżeli usiłowaniem państwa jest podnieść masy do pewnéj wysokości rozwoju umysłowego, nawet z niebezpieczeństwem przeszkadzania jednostkom, by nad wytyczoną skalę wysokości rozwoju wznieść się popędem wrodzonym nie zdołały; to naród starać się musi nieść pomoc téj jednostce, i podać sposobność do swobodniejszego rozwijania własnéj swéj istoty, sposobność jak najobfitszą i jak najwcześniejszą. Teraźniejszość ma więc obowiązek wyszukania środków, jakimiby ten wolniejszy rozwój jednostek osiągniętym być mógł najskuteczniéj.

Jeżeli dzisiaj zastanawiam się nad pytaniem, jak poprowadzić *wychowanie kobiety odpowiednio jéj powołaniu*, to czynię to dla tego, ponieważ widzę w téj mierze nie tylko spaczony kierunek, ba powiem nawet brak wybitnego kierunku i zupełne zaniedbanie, i ponieważ bez rzetelnéj i istotnéj poprawy tych stosunków nie można nawet myśleć o osiągnieniu *wychowania rodzinnego* w prawdziwém przez nas zamierzoném znaczeniu.

Pozwólcie mi więc abym sprawę tę w dwóch wzmiankowanych kierunkach rozwinął, przyczem nie zbaczając z drogi, nie mogę ominąć trzeciego, tj. jakie właściwie jest powołanie kobiety.

W państwach starożytnych nawet w tych, gdzie kwitła oświata, rodzina wyłącznie zajmowała się wychowaniem, gdzie zaś państwo sprawę tę podjęło, działo się to więcéj w myśl nowoczesnéj gminy, niżeli w myśl nowoczesnego państwa. Sparta, Ateny, Rzym były właściwie wielkiemi gminami, *civitas*, obywatelstwo było zarazem państwem, a co jako całość dla wychowania uczynić zdołało, pominąwszy wychowanie odpowiednie do celów wojennych, to zaledwie porównać można z czynnością jakiéj wielkiéj teraźniejszéj gminy, jak np. Berlina. Sparta pokazała, jak wiele zdziałać może gmina ściśle w sobie zamknięta, będąca pod surowemi i ściśle wykonywanemi prawami, lecz wykazała także, że oświata mas wytknięta z góry raz na zawsze do pewnéj tylko wysokości, może także pewien tylko zrobić postęp i trwać tylko do pewnego czasu, a daléj wyrodzić się musi w dzikość i ciemnotę sprowadzając na państwo niebezpieczeństwa i gromy.

Oświata i postęp narodu mogą wtedy tylko być zabezpieczonemi, jeżeli mają stały przytułek na łonie rodziny. Tutaj najpewniéj przejdzie z pokolenia na poko

lenie nie tylko obyczajność, lecz także praktyczne zrozumienie wiedzy, jako też użyteczność dla życia, tutaj to znajdzie także najbezpieczniejszą opiekę postęp i rodzinne przekazania; tutaj rozwija się w dzieciach ten wrodzony charakter ich jestestwa, o który nie może się troszczyć ani państwo, ani gmina.

Czego dokazać zdoła rodzina nawet bez najmniejszéj pomocy ze strony państwa i gminy, to pouczają nas najlepiéj żydzi. Z czasów koczującego swego życia przynieśli z sobą do staréj Judei podział rodziny na podporządkowane członki, nie oddając zwierzchnictwa w tym względzie ani królom, ani arcykapłanom, a gdy państwo żydowskie, rozsypało się w gruzy, to wystąpiły znowu rodziny żydowskie, rozchodząc się jako takie w daleki świat. Rozproszeni pośród tylu narodów, nadto srogimi losu ciosami nieraz dotknięci, zdołali się utrzymać przez tyle wieków aż do najnowszych czasów, a chociaż niejeden z nich wśród tych klęsk duchowo zmarniał, nie może jednak nikt bez uprzedzenia zaprzeczyć, że rodzina żydowska, nawet wśród czasów najcięższych, miała zamiłowanie do kształcenia się postępowego, krzewiła je podniecając potężnie aż do naszych czasów rozwój nie tylko materyjalny, ale i umysłowy.

Ludzkość musi istotnie uznać to za bardzo szczęśliwe zdarzenie, że z tego właśnie narodu wyszło chrześcijaństwo, przenosząc z koła małego i pokolenia w sobie tylko zamkniętego zarody ścisłego lecz i ciasnego życia rodzinnego na całą ludzkość.

(Ciąg dal. nast.)

OPOWIADANIE CIOTUNI.

(Powieść z życia.)

I.

Kuzynka.

Było to — jak dawno — nie powiem — dość, że miałam natenczas lat siedemnaście. Byłam najstarszą z czterech córek, któremi Bóg obdarzył rodziców moich. — Mieszkaliśmy w maleńkiém miasteczku, którego większa część do nich należała — ale usunięci od jego ruchu i życia zupełnie. Ojciec mój, dawny żołnierz z pod Lipska i Berezyny — uczestnik doznanéj chwały i zawiedzionych nadziei — świadek okazałości i tryumfów wielkiego Cesarza — gdy wrócił na zagon domowy — dzielił swe myśli i uczucia między dawne wspomnienia — tak pełne życia — a teraźniejszością smutną, któréj się doczekać nie spodziewał — któréj ni on — ni żaden z tych walecznych co krew swą nieśli w ofierze za promień błyszczącéj nadziei wywróżyć sobie nie umiał. Ciche życie domowe — święta dobrocią i poświęceniem matka moja — nie zawsze umiały zetrzeć chmurę z jego czoła — nasza wesołość dziecinna — nasza miłość i pieszczoty — rozerwać go rzadko potrafiły. A gdy dawnym wspomnieniom się poddawszy — opowiadał nam z zapałem swe trudy i niebezpieczeństwa —, gdyśmy wpół zachwycone jego męztwem — wpół przerażone dawno już minioném niebezpieczeństwem — słuchały go w milczeniu — lub gdy mimo woli okrzyk trwogi wydarł nam się z piersi; to gniewnie tylko na nas spoglądnął. — Ach! mówił — niemam syna — przerywał opowiadanie i wychodził — a matka ze łzą w oku tuliła nas do serca, jakby nam chcąc wynagrodzić to słowo bolesne. Nierozumiałyśmy wtenczas ojca! Kochając go szczerze, niewiedziałyśmy dla czego od nas stronił czemu on nas nie kochał — kiedy my i jego, i matkę i siebie kochając tak byłyśmy szczęśliwe. O! dziś pojmuję dobrze tę boleść żołnierza-Polaka. O! czemuż nie miałam brata! Czemuż wspominając dzieje męztwa i poświęcenia — nie mogę powiedzieć: I jego imie zacne — i on tam był — i on dopełnił powinności swojéj!...

Lecz gorzéj jeszcze było, gdym dorastać zaczęła. — Nieraz widziałam oko ojca na mnie zwrócone z jakimś nieopisanym żalu wyrazem. Nieraz mię sam odwoływał od drobnych zajęć gospodarskich, w których byłam matce pomocną i zatrudniał koło siebie; sam mi dawał lekcyje rysunku i historyi; lubił gdym mu śpiewała tęskne dumki Ukrainy lub dawnéj chwały piosnki, a sam opowiadał wiele o tych świetnych czasach, których pamięć żywo w sercu chował. Godziny te obok niego spędzone, były dla mnie szczęściem nieopisaném. Nauczone od matki szanować go i słuchać we wszystkiem, jedno słowo zadowolnienia było nam bodźcem do nowych starań by mu się przypodobać. Nieumiałyśmy go jeszcze zrozumieć — aleśmy go kochać i szanować od matki się uczyły.

Nieraz widziałam jak ojciec mój z matką długie miewał rozmowy, po których on bywał zamyślony — ona ze łzami w oczach dla mnie jeszcze lepszą — jeszcze czulszą — jeźli być może. Nie śmiałam się pytać, choć mimowolnie rozmowy te budziły we mnie ciekawość i jakąś obawę. Gdy razu jednego powiedziała mi matka: iż na żądanie kuzynki naszéj pani hrabiny S. w Warszawie, ojciec zdecydował się na lat parę oddać mię do niéj.

Wiadomość ta tak niespodziewana, w pierwszéj chwili mię żalem przejęła! Opuścić rodziców — siostry — domek cichy — ogródek pełen róż co się właśnie rozwijały — kącik w którym wszystko zajmuje — bo własne — bo znane — a iść do ludzi obcych — do świata nieznanego!... Tak mi to wszystko przez serce przemknęło, tak mi się ono ścisnęło i zabolało, żem mimowolnie do nóg się matce skłoniła i przez płacz zawołałam: — Mamo! ja nie chcę, mnie tu tak dobrze!...

Ale ledwie wymówiłam to słowo dotąd u nas nie słyszane na wolę ojca nie chcę — gdym się go już

sama przestraszyła — i nieumiejąc nawet spojrzeć w twarz stojącéj ze łzami w oczach matki — dodałam jakby szukając ostatniego ratunku: A ciotunia czy wie o tém?...

Nic jeszcze — odpowiedziała matka — jakby nieuważając słów pierwéj powiedzianych; — jak już przygotowania do drogi się ukończą, pojedziesz się z nią pożegnać.

Ciotunia — istota jedyna, o któréj śmiałam pomyśleć w mojéj boleści, w któréj jakąś nieodgadnioną pokładałam nadzieję, że mi dopomódz potrafi; była to wśród całego miasteczka jedna osoba, u któréj mój ojciec bywał, z którą chętnie rozmawiał, co go cierpliwie zawsze słuchała i nieraz (rzecz dla nas dziwna i niepojęta) i sprzeciwić mu się ośmieliła; matka moja nazywała ją świętą, ojciec — zacną dziwaczką, a my i wszystkie dzieci w mieście i sąsiedztwie — zwaliśmy ją ciotunią.

Jaki wiek był naszéj kochanéj ciotuni, wiedzieć niemogliśmy. Włos miała siwy, twarz bladą, wzrost mały, głos cichy. Lecz gdyśmy ją dzieci otoczyły w koło, gdy dzieliła nasze zabawy i pustoty, śmiech jéj dźwięczny wesoło z głosem naszym się łączył, i wtenczas zapominaliśmy o różnicy jéj wieku. A gdy w rozmowie ze starszemi opowiadano jakie szlachetne zdarzenie, jaki piękny uczynek, wtenczas jéj schylona postawa podnosiła się, oko jasném błyszczało światłem, na twarzy zapału wykwitał rumieniec — i wtenczas ciotunia z siwym włosem tak pięknieała wewnętrzném uczuciem, żeśmy się zmianie wydziwić nie mogli — tajemne robiąc sobie pytania, czy nasza ciotunia młodą jest, czy staruszką? —

Umiała ona zabawom naszym dopomódz tak, żeśmy się nigdzie lepiéj jak u ciotuni i z ciotunią nie bawili — a gdy na odpoczynek zebrawszy nas koło siebie, opowiadała nam o dobroci Boga, o powinnościach dziecka, o obowiązkach człowieka — tak umiała dać zrozumieć swą mowę, tyle wzbudzała chęci do dobrego, iż z prawdziwém namaszczeniem dziecinnych serduszek odchodziliśmy od niéj przejęci niewypowiedzianém uszanowaniem.

A lubiła dzieci ciotunia. Ich jest królestwo Boże — mawiała głaszcząc jasne i ciemne główki swywolników, tulących się do niéj — i nadzieja przyszłości dodawała z jakimś tak poważnym wyrazem oka i twarzy, że każda z tych młodych główek, niepojmujących jeszcze co przyszłość, już ją dla siebie w jakiémś mglistém wyobrażeniu tworzyła.

Domek jéj na wzgórku za miastem położony, szczupły ale schludny, otoczony ogródkiem pełnym bzu, róż i lilij, z których jakby z wianeczka przeglądały jego białe ściany, napełniony był mnóstwem zabawek i zajęć dla młodego wieku stosownych: od bacików pływających do lalek, książek z rycinami i robót zaczętych, wszystko tam było nagromadzone. Wszystko tam dla swéj zabawy miała dziecinna rzesza dozwolone, pod dwoma tylko warunkami: by hałasu w czasie rozmowy starszych nie robić i wszystko napowrót w porządku ułożyć.

Odstępujący od tych warunków, długo do wspólnych zabaw nie był przypuszczany. Starszym należy się poszanowanie — mawiała — a porządek, to skarb życia. I sama przykładem te zasady wpajała. Zawsze czarno lecz schludnie ubrana, tak w domu jak w ubraniu, jak i w obejściu swojém zachowywała największą prostotę. Dwa jéj mieszkalne pokoiki ubrane były ze smakiem i wdziękiem, nie noszącym na sobie żadnego pozoru zbytku. Książki, ryciny, obrazy, których dobór miała piękny, różne graciki do roboty i wygody służące, tak wszystko odpowiednio sobie było poukładane, taki ład we wszystkiém panował, iż zdawało się, że przybycie jeszcze jednego sprzęcika lub ubycie takowego, jużby się widzieć i czuć dało. Na drugiéj zaś stronie domu była tak zwana przez nią samą, pracownia ciotuni. Był to pokój duży, czysto utrzymany, na ścianach zdobiły go obrazy z historyi świętéj i polskiéj; na środku stół duży zastawiony koszykami i koszyczkami z zaczętemi robotami, a pod ścianami krosna i warsztaciki. Tam-to ciotunia od 9téj godziny z rana przesiadywała, ucząc schodzące się do niéj dzieci rozmaitego stanu nauk początkowych, tam wprawiała młode dziewczęta do szycia i robót krawieckich, a że każdéj wolno było przynieść z domu rozpoczętą robotę, która pod okiem ciotuni musiała być dobrze i pilnie wykonaną — chętnie matki wyprawiały do niéj swe dzieci. Dzieci zaś starsze i młodsze szły z ochotą — bo wiedziały, iż po skończoném czytaniu i pisaniu ciotunia opowie im lub przeczyta jakąś powieść zajmującą — iż pilna robotnica lub uczeń pojętny nie wróci nigdy bez jabłka, orzechów lub jakiéj fraszki, co mu uciechę sprawi. Po południu rozchodziło się to gronko, by w wieczór zimowy zebrać się znów przy igle lub wrzecionie na gawędkę już wspólną, z któréj zawsze jakąś naukę wynosili. A w lecie — o! to było inaczéj! Nad wieczorem wychodziła ciotunia zawsze na daleką przechadzkę. Pilnujący téj godziny jéj mali towarzysze i towarzyszki, już ją czekali na progach swych domów — i w miarę jak przechodziła miasteczko, orszak jéj się coraz zwiększał. Natenczas liczném otoczona gronem, szła z nimi w pola lub góry zbierając zioła i kwiaty, ucząc ich pobieżnie własności każdego z tych cudownych dzieł Boga na ulgę i użytek człowieka stworzonych. Wtenczas wobec cudów przyrody opowiadała im dzieła stworzenia, opowiadała o tym ludzie wybranym co ukochany — a tyle razy palcem gniewu Bożego był dotknięty, nie dla zatracenia, ale dla poprawy jego. Mówiła o poświęceniu, o miłości dla braci, a z świętych obrazów czerpane przykłady — z ust jéj prawdziwie natchnionemi i świętemi słowy płynęły. Słuchały ją dzie

ci z zachwytem i miłością — a przez te serca niewinne rozszerzał się wpływ ciotuni nad ich rodzicami — i powoli stała się ona prawie wyrocznią naszéj okolicy. Żadne ważniejsze przedsiewzięcie nie zostało powzięte bez jéj wiadomości, żadne małżeństwo skojarzone bez jéj błogosławieństwa, chory się jéj polecał modlitwom i staraniom, wesoły spieszył z nią radość podzielić.

I ja pod jéj opiekuńczym wpływem z dziecka wzrastałam, jéj winnam wiele, bardzo wiele pociechy w życiu, bo jéj naukom i radom w młodém sercu wszczepionèm winnam tę siłę, co mi w ciężkich chwilach życia upaść nie dała, bo ta wiara w przyszłość lepszą, co mi się stała osłodą życia i mocą do wytrwania w niém, przykładem i słowem ciotuni rozwinięta! Bądź błogosławiona mężna niewiasto! co z bolów serca swego umiałaś wysnuć dla drugich siłę i pociechę!

Przyzwyczajona do dzielenia z nią wszelkich moich kłopotów dziecinnych, cóż dziwnego, że w chwili, gdy zostałam zagrożoną rozdziałem ze wszystkiem com dotąd kochała — w téj chwili trwogi i żalu myśl mi najpierwéj nasunęła ciotunię, jako pomoc i radę w tém mojem ciężkiém zmartwieniu. Boleśnie mi więc było myśleć, że ten stanowczy krok w mém życiu bez ciotuni się rozpoczyna, że ona nie uwiadomiona o téj zmianie mego losu, ale sprzeciwiać się, lub nie poddać wyrokowi ojca, nie miałam woli, ni chęci. Przygotowania do podróży już były prawie ukończone, dni jeszcze kilka tylko oddzielało mnie od dnia wyjazdu; uszły mi one w smutku i żalu — choć czasem — przyznać się muszę, myśl mnię przenosiła do wielkiego miasta, dotąd mi obcego — a wyobraźnia ponętne różnych piękności tworzyła obrazy. Jednėm słowem, pomimo łez w oczach i żalu serdecznego, niepojęta jeszcze dla mnie trawiła mię gorączka n i e z n a n e g o — do którego im grubszą powleczone zasłoną, tém więcéj tęskni młode serce żądne nowości.

Ale matka nie mogła ukryć swojéj cichéj boleści. Ojciec patrząc na nas zasmucony, nic nie mówił, choć walka wewnętrzna widoczną w nim była. Nieraz długo w noc słyszałam go chodzącego po pokoju — a w obejściu ze mną widny był żal z rozłączeniu z najstarszém dzieckiem; widny był przymus jaki sam sobie zadawał.

Tak wśród sprzecznych uczuć, nadeszła nam wreszcie wigilija odjazdu. Już walizy i tłómoczki napełniono skromném mojém ubraniem — ja prawie nieprzytomna chodziłam w znajome kąty, żegnając każden szczerém westchnieniem — ze łzami zachodziły mi w drogę poczciwe sługi nasze, całując mię po rękach i życząc szczęścia w przyszłości — towarzyszyły mi kochane siostry, prosząc o listy, o pamięć; nareszcie gdy już nad wieczorem znużona chodem i doznaném wzruszeniem wróciłam do domu, zastałam rodziców zebranych do ciotuni. W chwilę byłam gotowa i poszliśmy razem na koniec miasta, do białego domku ciotuni.

Milcząc szliśmy ciągle. Wieczór był piękny — wiosenny. Zastaliśmy ją na ganku, zkąd widać było całe miasto w dali położone migocące białemi ścianami domów wśród drzew olbrzymich cieniami czerniejących na jasnem tle powietrza. W téj chwili przejścia z gwaru dziennego do spoczynku całéj natury — uroczysta panowała cisza. Ostatki światła mdłym blaskiem oświecały cały cudny krajobraz, zapach bzu przeciążał powietrze. Ciotunia przy tym blasku wśród téj woni sama, czarno ubrana — i przy nastrojeniu tęsknėm méj duszy, wydała mi się jeszcze bledszą, jeszcze smutniejszą niż zwykle. Zamyślona snać głęboko nie spostrzegła nas zbliżających się do siebie — dopiero głośnėm powitaniem ojca jak ze snu zbudzona — powstala, a zaprosiwszy nas usiąść przy sobie, chciala jakąś ogólną nic nieznaczącą wszcząć rozmowę, ale się nam wspólnie snać myśli do niéj nie składały, bośmy wkrótce wszyscy umilkli. Po tém dość długiém a niepostrzeżoném milczeniu matka moja zebrawszy całą odwagę, rzekła wpół stłumionym głosem:

Julia przyszła ciotunię pożegnać — jutro jedzie.

(Ciąg dal. nast.)

KALINA.

Górą sokół kręgi toczy,
Dołem czapla Dniestrem kroczy,
Szuka na wód dnie:
Brzegiem ciernie, głóg, witwina,
Polna róża i kalina
Jak siostrzyce dwie.

Na kalinie siadło ptaszę,
Szaropióre — ale nasze,
Wzniosło w górę głos:
Skrzydełkami strzepotało,
Zaśpiewało — zapłakało
Na swój biedny los!

Cyt ptaszyno — cyt ma ptaszko,
Wszystkim życie nie igraszką,
Rzekł kaliny krzew:
W moim krzakuś się zrodziła,
Tu cię matka holubiła,
Tuś poczęła śpiew!

Wzięli ludzie źli milego
Het daleko z gniazdka twego,
Oj wzięli go w dal;
I zostałaś sama jedna,
Nieszczęśliwa — chora — biedna,
Z serca mi cię żal!

Lecz nie jedno jak ty, rankiem
Płacze dziewcze za kochankiem,
Lub za żoną mąż;
Ho! za Bajkał strach daleko,
Syna pędzą, ojca wleką
W śnieżne stepy wciąż!

Nim powrotu się doczeka,
Pierw dożyje trumny wieka;
Lżejsza śmierć i grób,
Niż wśród śniegów z łaski carskiéj
Gnić w Nerczyńskiej, albo Karskiéj
Już za życia — trup!

Czyż nie będzie dnia odpłaty
Za łez tyle, krwi i straty,
Straty, krwi i łez? —
Ho! to inne znów pytanie,
I odpowie może na nie
Już najbliższy kres!

A tymczasem — Pan-Bóg z nami!
Weź mą gałąź z jagodami
Wiéj się w chmury, wiéj!
I leć światem het szeroko,
Gdzie zaniesie Bóg i oko
I po świecie siéj!

Niech na groby polskie padnie,
I kaliną wzejdzie ładnie
Na ojczyzny cześć;
I usiędzie znów ptaszyna,
I dla Polski drogiéj syna
Z Polski poda wieść!

I zanuci o dniach dawnych,
I o przyszłych, lecz już sławnych,
Będzie lżéj im tam:
I w ojczyźnie będzie głośniéj,
I nam w sercach już radośniéj:
Boże! — daj to nam! —

I wzleciało z krzewu ptaszę,
Szaropióre, ale nasze.
Wzniosło w górę głos:
Skrzydełkami strzepotało,
Choć śpiewało, nie płakało
Więcéj już na los!

W Koropcu. 1866. *Malwina Świstelnicka.*

JULIANNA KRÜDENER

(ŻYCIORYS)

opracowany z wiarogodnych źródeł przez

Paulinę Wilkońską.

Była to osobistość niezaprzeczoną ciekawość budząca, mianowicie też przez wpływ swój przeważny, jaki wywarła na akt wielkiéj doniosłości, który dziewiętnastemu wiekowi tak bardzo dał się we znaki, a oddziaływał nieszczęśnie i na losy nasze.

Julianna z baronów Vietinghoff'ów baronowa Krüdener, urodziła się w Rydze r. 1764. Ojciec jéj, pochodzący z dawnéj rodziny niemieckiéj, należał do najzamożniejszych właścicieli w Kurlandyi. Matka jéj była córką jenerała Munnich'a — który, jak wiadomo, doznając łask wielkich, wreszcie jako wygnaniec lat kilka w Syberyi zostawał.

Dzieckiem będąc, już Julianna okazywała zdolności wielkie i przedwczesną dojrzałość umysłu. Jako młodziutka panienka towarzyszyła rodzicom swoim do Paryża, gdzie pan Vietinghoff dom na znaczną otworzył skalę, i stosunki z najznakomitszymi uczonymi zawiązał.

Julianna nie była piękną, ale rysów twarzy delikatnych i zajmujących, wyrazu ożywionego wielce, szczupłéj a zręcznéj kibici, pełna powabów i wdzięku. Gdy w świat wprowadzoną została, otoczył ją rój wielbicieli od razu, starających się o jéj rękę — i niebawem też wydaną została za barona von Krüdener, Liflandczyka, znanego rosyjskiego dyplomatę. Liczyła wtedy lat piętnaście zaledwo, gdy pan Krüdener miał już lat trzydzieści i sześć. W jéj młodéj fantazyi wrzało i miękkie serce uderzyło pragnieniem — a nadto miała, jak się jeden z psychologów francuskich wyraził: *un penchant irrésistible aux rêveries mélancoliques* — skłonność niepowściągnioną do marzeń smętnych. Gdy natomiast pan Krüdener chłodnym jedynie był dyplomatą i politykiem wyrachowanym.

Pierwsze lata ich małżeństwa były dość szczęśliwe. Urodzenie się syna a następnie córki, powinno ich było ściślejszym połączyć węzłem. Syn zostawał później także w dyplomacyi rosyjskiéj, córka była za szambelanem von Berkheim.

W parę lat po ślubie wyjechał baron Krüdener jako poseł rosyjski do Wenecyi, i młoda towarzyszyła mu żona. Rzuconą tamże w świat balów i towarzystw świetnych, niebawem znowu rój wzdychających do niéj otoczył. Pomiędzy tymi zajął się nią aż do szaleństwa hrabia Aleksy Stakieff (?). Nie odpłacała mu wzajemnością uczuć, ale ta miłość gwałtowna młodzieńca i rezygnacyja, wpływ wielki na jéj przyszłe wywarły życie. Poczęła rozważać swój stosunek małżeński — do czego tém więcéj miała czasu, o ile małżonek czynnościami dyplomatycznemi zajęty, zwykle pozostawiał ją samą. Chłodny jego rozum nie zgadzał się bynajmniéj z rozmarzeniem i gorącą wyobraźnią młodéj kobiety. A jeszcze zawitał i pewien brak finansowy, wynikły z nieoględnych wydatków i zbytkownych wystąpień. Pani Krüdener stała się nerwową, cierpiącą — i lekarze zalecili jéj pobyt w południowéj Francyi.

W téj podróży zrobiła znajomość z autorem znanego i podziwianego romansu „Paul et Virginie“, Bernardin'em de St. Pierre. (Ciąg dal. nast.)

Z PRZYRODY.

Złoto. Srebro. Djamenty. Perły. Korale itd.

I.
ZŁOTO.

„Szczególne zrządzenie zaszczepiło w umy-„słach najmędrszych i najdoświadczeńszych lu-„dzi ideę o istnieniu ukrytego w ziemi klej-„notu, przez który człowiek, jeżeli go znajdzie, „dostąpić może posiadania tego, czego pożądają „najwyższe pragnienia doczesnego bytu: złota, „zdrowia i długiego życia“. (Liebig.)

„Złoto daje potęgę, bez zdrowia nie można „używać, a długie życie stanęło na miejscu nie-„śmiertelności“. (Göethe.)

Biorąc te minerały za przedmiot naszego opisu, nie będziemy potrzebowali prowadzić nasze czytelniczki do poważnych gabinetów, otwierać zakurzone pudełka — jeno wejdziemy sobie do któregobądź salonu, a znajdziemy najpiękniejsze okazy tych minerałów i kosztowności na białych szyjach dam, na zgrabnych rączkach, w puklach lśniących włosów. W mytach greckich Pluto (pan tych kosztowności) porwał piękność w swoje podziemia — dziś Proserpina porwała Plutusa i zdobi się jego skarbami. Złoto, srebro, djamenty, perły błyskają wśród nędzy ludzkiej, i wabią oczy i nęcą ręce — nawet poeci nie gardzą temi nadobnemi marnościami, marzą przyjemnie o nich i łatając ubogą kieszeń fantazją, przemieniają łzy kochanek w perły, usta w rubiny — a oczy w lazury. Bezrozumne dziecko i wyrachowany spekulant, wyciągają ręce do tych błyskotek, które w ludzkości ważną odgrywały i odgrywają rolę. Ciekawą więc rzeczą będzie poznać pochodzenie tych kosztowności i ich dzieje. Zaczniemy od złota, które alchemiści zwali królem metalów i słońcem.

Okres czasu w którym obecnie żyjemy, choć nie jest wiekiem złotym, w téj myśli jak to rozumiał Owidiusz, jednak bez wątpienia jest wiekiem złota. Od chwili jak w r. 1848 znaleziono pod Suttersmille przy ujściu rzek Sakramento i Amerikan-Rivers pierwsze ziarnka złota, opanowała wszystkich złota febra. Bo też zaledwo ucichnie wieść o jedném odkryciu złota, już o nowém mówią odkryciu, a słowo: złoto! stało się niemal hasłem dni naszych. A lubo wiele z tych wieści, które tak rozdrażniły umysły w świecie, było przesadzonych, chociaż tysiące z tych co temu ślepo uwierzyli i powędrowali do krain złota, według przysłowia Jankesów „zobaczyło słonia“ to jest omyliło się w swych nadziejach; to mimo tego pokłady złota w Kalifornii i Australii są w historyi naszych czasów ważną epoką; nigdy bowiem przedtém nie wydobywano tego kruszcu na tak wielkie rozmiary. To żniwo złote jest tak obfitego plonu, jak żniwo zboża a zapas zdaje się wystarczy jeszcze na długie lata.

„O złoto się wszyscy dobijają; na niém wszystko polega“. Są to zwykłe wyobrażenia nietylko w uściech dzisiejszego świata, ale (o ile sięgają nasze wiadomości,) złoto i w najdawniejszych czasach w wielkiém już było znaczeniu. Czytamy bowiem w drugim rozdziale, Księgi Rodzaju: „z Edenu płynął strumień do zawodnienia ogrodu, i ten rozpadł się na cztery główne wody. Pierwsza nazywała się Pison i płynęła do koła kraju Hevila i w niéj znajduje się złoto. A złoto tego kraju jest wyborne“. Jeżeli więc aż do ksiąg Mojżeszowych sięgniemy, i tam już znajdziemy, że złoto służyło ludom wschodnim nietylko za ozdobę, ale i stanowiło główny stan ich bogactwa.

Złoto jako metal to na powierzchni ziemi to niegłęboko pod ziemią leżący, najłatwiéj mogło też być znalezioném, a chociaż pierwszy znalazca nie znał wielkich przymiotów tego metalu, to był pewnie oślniony jego połyskiem, który nawet i zwierzęta jest w stanie zwabić jak np. sroki i kruki. Ten to zapewne przymiot wpadający w oczy, był powodem oznaczania złota, bo słowo „Zahab“ jakim Egipcyjanie, Fenicyjanie i Hebrajczycy oznaczali złoto, pochodzi od przysłówka „tsahab“ co oznacza błyszczeć iskrzyć się.

Pierwsi którzy zaprowadzili kopalnie złota byli Egipcjanie, Didon opisuje to następnie: „Okolice Egiptu koło Etiopii i Arabii obfitują w kopalnie złota, którego wydostanie wiele bardzo pracy kosztuje. Jest to minerał czarny z białemi żyłami i połyskującemi punktami. Jeżeli niewolnicy i jeńcy wojenni nie wystarczają, to przedsiębiorcy zabierają całe rodziny, skazanych do téj pracy. I ci nieszczęśni pracować muszą dzień i noc bez żadnego wypoczynku. Pilnują ich żołnierze nie znający języka robotników, ażeby ich ani obietnicą, ani prośbą zjednać sobie nie mogli. Bezustannie pracować muszą, niewoleni to słowami, to plagami. Nawet dzieci nie są wyjęte od takiéj pracy, jedne odwozić muszą bryły, drugie te bryły rozbijać. Te kawały dopiero starsi robotnicy tłuką w moździerzach, potem mielą na młynach obracanych przez kobiety i starców. Niepodobném jest opisywać cierpienia tych biedaków, pracujących nago i wystawionych na wszystkie zmiany powietrza. W piersiach tych oprawców nie ma żadnego uczucia ani dla słabéj kobiety lub dla starca stojącego nad grobem. Nie mają względu na chorych a dotknięty robotnik jaką chorobą, jest bitym, póki pod razami nie wyzionie ducha“.

Odwróćmy ze wstrętem oczy od podobnych opisów, które na hańbę ludzkości, przypominają nam tyle wieków później. Okrucieństwa Hiszpanów w Ameryce dla

osiągnienia tegoż samego kruszcu. Żądza złota tępi każde szlachetniejsze uczucie w człowieku. A zresztą któraż z Rzymianek pysznąca się drogiémi kamieniami, miała ochotę myśleć nad śmiercią całych rodzin, niewolniczych w kopalniach złota. Któraż z późniejszych bogiń strojąca się w złociste djamenty, w lśniące kolie, myślała o całej historyi niedoli kopiących złoto niewolników.

U Egipcjan obok produkcyi złota, była także wymiana złotego piasku za towary, które im sąsiednie Nidy donosiły. Bogactwo złota w tym kraju musiało być wielkie, bo nietylko że w wielkiej ilości przyozdabiano niém świątynie i pałace królewskie, ale mieli go zadosyć i mieszkańcy, którzy tam w niewoli żyli, a uwolnieni, wielką ilość złota ze sobą zabrali. Ich cielec złoty ułany był z kolczyków, a na postawienie dla niego świątyni, lud złożył 3 miliony r. w. a.

Późniejsze wiadomości o bogactwach wybranego ludu są jeszcze daleko większe. Musi to być jednak przesadzone, chociaż o tem w kronikach czytamy, że Dawid stawiając Jehowie świątynię, zebrał 100tysięcy cetnarów złota, (6810 milionów r. w. a.) i jeden milion cetnarów srebra, (4449 mil. r. w. a.) Za czasów Salomona on sam przeznaczył na stawianie świątyni 3 tysiące cetnarów złota i 7 tysięcy cet. srebra, panowie 5 tysięcy cet. złota i 10 tysięcy cet. srebra. Mówią daléj o królewskich dochodach: „złota miał Salomon 666 cet. oprócz tego co mu dawali kupcy, wszyscy królowie Arabów i panowie całego kraju. Wszystkie naczynia królewskie były szczero złote, takie same naczynia po świątyniach. Srebra za panowania Salomona nie rachowano.

Kalifornią starożytnych był kraj Ophir, o którym gdzie leżał, nic nie wiemy. Niektórzy utrzymują, że to były wschodnie wybrzeża Afryki, inni znów, że on był w Indyjach. Może Hebrajczycy pod tą nazwą rozumieli kraje południowe, za czerwoném morzem. Indyje lubo nie posiadały jeszcze natenczas kopalń złota, jednak przy wymianie za swe produkta otrzymały podostatkiem tego metalu.

Stara Grecyja była bardzo ubogą w złoto. Ale dla tego właśnie tém więcéj przykładano wartości do jego posiadania. Co brakowało Grecyi, w to obfitowała mała Azyja. Jest podanie o królu Midasie, że wszystko czego się dotknął zamieniało się w złoto, a bogactwo Krezusa stało się przysłowiem. To wszystko naprowadza na obfitość złota w górach Imolus i w korycie rzeki Paktol. Grecyja dopiero za czasów wojen Perskich obfitowała w złoto. (przez zdobycie perskiego obozu, później w skutek otrzymanego żołdu, zapomóg i prezentów pojedyńczym państwom lub wodzom.)

Mimo tak wielkich wydatków Persyja nie tak bardzo zubożała, kiedy Alexandrowi Wielkiemu jako łup dostało się 180,000 talentów (40 milionów r. w. a.) Ten skarb został po jego śmierci wydany na różne wojny.

W ogóle jednak i w owych czasach skarby takie były u pojedyńczych osób, a o dobrobycie lub bogactwie kraju nic można było z tąd nic wnioskować. Tyranija zachodu ułatwiała nagromadzenie skarbów w niektórych punktach przez systematyczny ucisk.

Rzym przez parę wieków musiał zadowalniać się miedzią, dopiero w roku 485 po wybudowaniu miasta (269 p. Ch.) posiadał srebrne pieniądze, a w 62 lat późniéj złote. Mimo tego jednak i u nich u pojedyńczych ludzi było złoto, choć nie w wielkiej obfitości, bo miasto na okupienienie od Gallów, złożyło 10000 funtów złota (około pół miliona reńskich) w 390 r. p. Chr. Że nie mieli tak wielkich zasobów złota, mówi zatem i ta kokoliczność, że nie wolno było umarłym dawać żadnych ozdób złotych.

Późniéj znaleziono złoto w okolicach Aosty, a w korycie rzeki Po, koło Aquilei taką obfitość znajdowano złota, że wartość jego spadła na trzecią część. I ażeby ta wartość bardziéj nie spadła, miasto postawiło koło rzeki stróżów, nie dozwalając więcéj nad 5000 robotnikom przy płukaniu złota pracować.

Dwa wieki późniéj, w niedługim czasie po bitwie pod Zamą, w któréj współzawodnicy Rzymskiego ludu Kartagińczykowie pokonani zostali, zmienia się i tu postać rzeczy, tak samo jak w Grecyi. Odtąd Rzym stał się środkowym punktem, w którym się zgromadziły skarby całego świata, zbierane od wieków. W ucisku nie ustępowali Rzymianie wschodnim despotom. Gallowie powrócić musieli to, co w początku zabrali. Lud ten, prawie najbardziéj łaknący złota, obfite nagromadził skarby. A przy wzięciu Tuluzy Cezar tak wielkie zabrał łupy, że znów wartość złota spadła we Włoszech. Lecz jeszcze za czasów potęgi państwa Rzymskiego, wyczerpały się kopalnie złota starożytnych. Paktolus, który dostarczył złota Krezusowi, został wybrany, tenże sam wypadek nastąpił w Aquilei. Z Indyi i Afryki nie było żadnego dowozu, Pliniusz użala się nawet, że na Indyje Rzymianie wydawali 50 milionów Sesternów (przeszło 3 miliony r. w. a.) a z wydatkami na południową Arabiją i Serikę (Chiny) summa ta jeszcze raz się zwiększała.

Lecz znów nowe okazały się źródła w Hiszpanii i Dalmacyi. Hiszpanija dostarczała rocznie 20 tysięcy funtów (8 mil. r. w. a.) a Dalmacyja za czasów Nerona dziennie 50 funtów, a więc rocznie 15 tysięcy funtów złota. Lecz im obfitsze z początku kopalnie dostarczały plony, tém prędzéj się wyczerpywały.

Nowszymi teraz czasy usiłowano obrachować, jakie sumy złota były w Rzymie. Utrzymują, że za czasów Augusta w samym Rzymie było 3576 milionów r. w. a. złota, a summa ta w przeciągu 500 lat zeszła na 865 mil. r. w. a. Takie wszystkie obrachowania są jednak

czystym wynikiem bujnéj fantazyi, żadnych bowiem niema źródeł, na którychby się oprzeć mogły. Jakikolwiek jednak był użytek złota, jednak zawsze wielce go ceniono. Pliniusz wspomina, że używanie złota na naczynia pewne przez Triumwira Marka Antoniusza, wywołało wielkie oburzenie. „Był to zbytek, mówi Pliniusz, na który i Kleopatra zarumienić by się musiała.

To jednak jest pewném, że ubytek złota od 3. wieku był tak wielki, że nawet czuć się dał jego brak w obiegu handlowym. Wprawdzie w wiekach średnich w całéj Europie miano płuczki złota, ale dochód z nich był tak mały, że o tym i mówić nie warto. Jedynie Węgry, i Siedmiogród miały nieco większe kopalnie, sięgające czasów Rzymskich, niema jednak dokładnych wiadomości, jaką ilość złota dostarczały. W Czechach były płuczki złota w rzekach Watawa i Mołdawie. Początek ich przypada w 7. i 8. wieku, największa obfitość w 10. i 12. przed odkryciem kopalń złota przy Bergreichenstein i Bergstadt. Lecz teraz to wszystko już upadło.

W wiekach średnich, chociaż znów rozpoczął się dowóz z Afryki do Europy, brak złota był wielki; nagromadzenie skarbów po kościołach było tego w części przyczyną.

Marzenia alchemistów o odkryciu złota nic w tym względzie pomagały. Zmiana nastąpiła dopiero z odkryciem Ameryki. Dopiero wyprawa Kolumba napełniła próżny już worek Europy. Ciąg dal. nast.

ROZMAITOŚCI.

Powodzenie, jakiego doznaje „Halka“ w Krakowie, sprowadziło do nas jéj autora St. Moniuszkę. Obecność jego na sobotniém przedstawieniu podziałała inspiracyjnie na śpiewaków — tak, że to przedstawienie do najświetniejszych policzyć musimy. — W czwartek dawano na dochód Moniuszki „Paziów“ — p. Niedzielski odśpiewał „Dziad i Baba“, a p. Borkowski „Czaty“. Połowę aryj solowych, wymienionych na afiszu, opuszczono — co to znaczy? to pytanie zadawała cała publiczność.

Jak słyszymy Moniuszko w czasie swojego pobytu zamierza siłami amatorskiemi wykonać wspaniałe oratorium swoje „Dziady“ z tekstem Mickiewicza. Nie wątpimy, że Sz. Amatorki i Amatorowie, którzy czynny brali udział w produkcyjach muzycznych „Liedertaflu“ — z większą gorliwością przyczynią się do świetnego wykonania narodowéj kompozycyi. Kompozytorowie nie mogą wozić ze sobą wykonawców, i jest to powszechnym zwyczajem, że amatorowie ochotnie pospieszają ilekroć się im zdarzy brać udział w wykonaniu większych utworów, zwłaszcza pod kierunkiem znakomitego kompozytora. Doświadczył już i p. Moniuszko téj uprzejmości nieraz w innych stronach naszego kraju. Krakowianki, spodziewamy się, nie pozostaną w tyle — i odłożywszy na bok małomiejskie względziki i kwasy, nie pominą sposobności do zaczerpnięcia głębszéj muzyki u samego źródła. — Przybycie Moniuszki do naszego miasta dobrze wróży o przyszłości opery naszéj, daje nam bowiem nadzieję, że osłabiona nierównêm współzawodnictwem z włoską opera polska w Warszawie — tutaj znajdzie punkt swéj ciężkości i zgromadzi swoje siły. Zamiłowanie i wytrwałość z jaką p. Dunieckí (obecnie dyrektor opery) wziął się do tego, dają nam wszelką rękojmię. — Że dramat przez to nic nie ucierpi, najlepszy dowód, że każde przedstawienie odbywa się przy licznêm zebraniu publiczności — ale bo téż nastąpiła bardzo korzystna zmiana repertoarza. Widujemy teraz na scenie sztuki, które pozwalają marzyć o dawnéj świetności teatru.

— Ostatni dzień starego roku zakończyliśmy pogrzebem śp. Warszewicza, inspektora zakładu botanicznego. Po długiéj podróży w celach naukowych po Ameryce i Afryce, wrócił do Krakowa, przenosząc pracę w własnym kraju nad świetne posady, jakie mu ofiarowywano za granicą. Nie prędko zakład nasz botaniczny znajdzie godnego mu zastępcę. Kraj stracił w nim sławnego botanika — a znajomi zacnego przyjaciela.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Tadeusz Wojciechowski.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.